ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

O broni kulowej.

Niedługo przebrzmią odgłosy rogów, myśliwy powiesi wierną strzelbę na kołku; sezon polowań zimowych skończony. Niejeden z myśliwych z zadowoleniem wspominać będzie ten rok myśliwski, był bowiem zadowolony ze siebie, ze swej strzelby, ze zwierzyny. Inny znowu kontent ze siebie, bo nie pudłował, kontent ze strzelby, bo dobrze bije, ale niezadowolony ze zwierzyny, bo mało strzelał. Wreszcie ostatni gatunek myśliwych, to są malkontenci niezadowoleni ze swoich rezultatów z powodów broni. Oczywiście nie mówię tu o zawodowych pudlarzach, bo dla nich nie ma ratunku w żadnym teoretycznym artykule. Wszakże ceny amunicyi są stosunkowo tak niskie, proszę strzelać i strzelać, aż się trafiać będzie! Wszak to takie proste!

Celem mojego artykułu będzie wykazać, czego od broni można się spodziewać, a to aby ułatwić tym malkontentom wybór broni i ograniczyć czasami wygórowane żądania w tym kierunku. Ponieważ w rozprawie tej będzie parę fachowych uwag, których poparcie wymaga kilku prostych wzorów i formuł, proszę przeto tych myśliwych, którzy z szalonym przestrachem unikają wszelkich matematycznych wzorów z góry o przebaczenie za tych parę koniecznych formułek, bez których zwłaszcza przy omawianiu broni kulowej obyć się nie można. Zresztą podnosi się krzyk wielki na brak fachowych artykułów. Mówią o białych krukach, „rara avis“ jak to wspomina korespondent w drugim tegorocznym numerze; ergo incipiam.

Niejeden z myśliwych zapoluje w maju na rogacza, a w lecie przecież należy się kulka temu cerwidowi, a nie śrót, lub (włosy mi stają na głowie) lotki.

Zacznę tedy od b r o n i k u l o w e j.

Jakie są czynniki składające się na dobroć tej broni?

Pierwszym czynnikiem decydującym o dobroci sztućca jest wykonanie jego lufki. Materyał, to już kwestya przestarzała. Nikt nie wyrabia teraz lufek z damastu albo żelaza. Materyałom tym zbywa na jednostajności i wytrzymałości należytej. Dobra lufka jest ze stali (Gusstahl), zaopatrzona w dokładne cylindryczne wiercenie z gwintami. Ilość gwintów, ich jakość, to rzecz zanadto zawiła, by się nią matematycznie zajmować. Wystarczy powiedzieć, że gwint powinien być dostosowany: 1. do wielkości kalibru, 2. do materyału, z którego kula jest zrobiona, 3. do długości kuli, 4. do długości lufy, lub co na jedno wychodzi, do ilości prochu w naboju.

Gwint nie powinien być zanadto głęboki, gdyż wtedy się zastawia, ale taki, żeby kula wypełniając go (a więc i cały przekrój lufy) była zmuszoną nabrać obrotu około własnej osi. Ilość tych obrotów również jest rzeczą podrzędną dla myśliwego. Musi być tak wielką, żeby kula nie wywracała kozłów w powietrzu, ale zawsze równolegle do pierwotnej swej pozycyi, to jest ostrym swym końcem uderzała. Długie kule wymagają prędszego obrotu. (Łatwo się o tem przekonać, jeśli się zrobi bączek. Przy krótszej nóżce trudniej się wywraca, przy dłuższej prędzej, ergo trzeba go mocniej zakręcić). Ponieważ zaś długie kule mają przekrój bardzo mały (n. p. wojskowe), a ilość obrotów jest bardzo wielką, musiano dać tym kulom albo płaszcz ochronny ze stali, niklu etc., albo ulać je z pewnym procentem antymonu (Legierungsgeschosse), ażeby były zdolne wytrzymać to nagłe skręcenie i nie porwać się w kawałki. Z drugiej strony nie potrzeba już było tak głębokich gwintów, gdyż twardy materyał płaszczów już w gwincie na 0·1 mm wysokim znajduje dokładne prowadzenie.

Te wszystkie szczegóły wykonywa rusznikarz, myśliwy może się więc na niego spuścić, że mu nie da broni o koziołkującej kuli.

Centrowność lufki zależy głównie od dokładnego wiercenia. Dziś przy znakomitem urządzeniu fabryki o automatycznie pracujących precyzyjnych maszynach mamy gwarancyę, że każda lufka ma wystarczający stopień dokładności (naturalnie o ile cena nie schodzi na wprost niemożliwie niskie poziomy, dajmy na to 12 złr. jak to niektóre firmy podają, bo za taką cenę nikt nie jest w stanie zrobić uczciwego gwintu).

Dość ważnym czynnikiem jest również długość lufy. Powinna ona być tak długą, ażeby pocisk opuszczał ją w chwili, gdy ostatnia ilość prochu się spaliła, a więc kiedy panuje maximum ciśnienia. Jeśli lufka jest za krótką, to pewna ilość gazów się marnuje, gdyż powstaje po wylocie pocisku i ma wartość równorzędną z prochem w moździerzu wielkanocnym. Gdy przeciwnie jest za długą, to znowu część uzyskanego ciśnienia marnuje się na pokonanie dość znacznego oporu wewnątrz lufy. Nie należy więc ani w jednym, ani w drugim kierunku przesadzać. Zależy to od ilości prochu.

Małe ustąpienie na korzyść jednej lub drugiej strony nie szkodzi. Dowodem tego są trzylufki, gdzie przedłuża się trochę lufkę kulową, aby i lufek śrótowych nie skracać zanadto. Jak wiadomo bowiem śrótówka wymaga dłuższych luf. W ostatnich czasach zwłaszcza wiele się grzechów w tym kierunku pokazało. Skracano lufki ad impossibilitatem. Było to modne. Czytałem nawet sprawozdanie z polowania cesarza Wilhelma, na którem używał karabinka o lufce 15 cm. długiej, ale prędko wrócił się do swego mausera. Nie przeczę, że z krótkiego zgrabnego karabinka łatwiej się złożyć niż z wojskowego długiego, ale znowu lufa długa ułatwia w wysokim stopniu dokładne mierzenie. Dlatego to niektóre sztućce tarczowe mają t. z. fałszywą lufę, t. j. właściwa kalibrowa lufka kończy się prędko, ale muszka osadzona jest na przedłużeniu lufy, która posiada wielki kaliber, by służyć jedynie do osadzenia muszki, a nie do prowadzenia kuli. Dla tej racyi wojsko, które strzela na wielkie odległości, ma długie stosunkowo lufy, aby ułatwić mierzenie do celów przeważnie stojących.

Zwykła długość lufy wynosi 55—60 cm. W karabinkach mamy mały skok na dół (45 ctm.). Przy drylingu w górę (68—70). Przestrzega się więc przed przesadą w jednym, lub drugim kierunku.

Drugim decydującym czynnikiem w broni kulowej jest chyżość pocisku.

Chyżość początkowa jestto chyżość mierzona w jednym z początkowych punktów drogi przebytej przez kulę. Mierzy się ją zapomocą specyalnych aparatów w odległości 25 metrów przed wylotem lufy i oznacza takim symbolem: V_{25}. Jeżeli więc mowa o chyżości początkowej pocisku n. p. $V_{25} = 500$ m/sec. to znaczy: że pocisk przebyłby drogę 500 m. w jednej sekundzie, gdyby przez cały czas tej sekundy zachował chyżość, którą ma w chwili, gdy przechodzi przez 25 metrów przed wylotem lufy.

Nie trzeba mieszać chyżości początkowej kuli z „chyżością lotu“. Definicya tej brzmi tak: **Chyżość lotu** jestto czas, jakiego kula potrzebuje do przebycia pewnej odległości. Widzimy więc, że chyżość lotu jest funkcyą, czyli pochodną chyżości początkowej. Dlatego to pomija się ją zwykle, a mówi tylko o początkowej.

Od niej zależy mnóstwo rzeczy.

Przedewszystkiem jednolitość strzałów.

Gdy zaśrubujemy sztuciec i oddamy z tej niezmienionej pozycyi kilka strzałów, przekonamy się, że kula nie idzie w kulę, ale uderza albo w bok, albo w górę, albo w dół. Tego nie da się uniknąć nawet przy najlepszym sztućcu. Przyczyna zaś jest naprzód: różnica pomiędzy nawet najlepiej robionymi nabojami, różnice zapału, wiatr, wibracye lufy, różny opór powietrza i mnóstwo innych, niczem nie przewidzianych przyczyn. Ta różnica w uderzaniu kuli (Streuung des Karabiners) zmniejsza się nadzwyczaj ze zwiększającą się chyżością początkową.

Karabin z roku 71 miał na 100 metrów 16 cm. na wysokość a 15 na szerokość, czyli, że kule mieściły się w prostokącie tej postaci (15 × 16) a to przy chyżości pocz. $V_{25} = 440$ m. sec. Nowy sztuciec 6·5 m/m. pakuje na tę samą odległość 16 kul w centrum o średnicy niespełna 6 ctm. ale ma $V_{25} = 720$ m. sec. Stąd widzimy, jak ważnym czynnikiem jest chyżość początkowa w ostrzelaniu karabinu.

Po drugie zależy od niej także nadzwyczajnie płaska droga kuli. Elewacya redukuje się na wszystkie myśliwskie odległości do minimum, tak, że z nowych karabinów nie trzeba prawie strzelać z wizerem podniesionym, ale wystarczy wziąć z lekka wyraźniej muszkę a kula napewne nie zdołuje.

Ostatnim, ogromnie ważnym czynnikiem jest siła przebijająca kuli i jej destruktywne działanie. W drugim numerze tegorocznym szanowny korespondent dość o tem

powiedział, nie ma więc potrzeby powtarzania. Opowiem tu jeden fakt, który mi się zdarzył we Wiedniu.

Kiedy z wujem moim zwiedzałem zbiory akademii wojskowej, zwróciły moją uwagę dwie ramy, podobne do plastrów miodowych, wypełnione gliną, która była na przestrzeni 20 ctm. poszarpana i porozdzierana zupełnie, jak gdyby wewnątrz nastąpił mały wybuch. Na nasze zapytanie, co to jest, odpowiedział oprowadzający nas kapitan N.: „Das ist der Schusskanal des 8 m/m. Repetiergewehres Modell 88 im nassen weichen Thon". Przyznaję, że obstupui. Wuj mój wojskowy również nie chciał oczom wierzyć. Niech to posłuży za illustracyę szalonego ciśnienia hydraulicznego, które się przy strzale z tego karabinu wywiązuje. W parze z niem idzie i zabijająca własność kul o wielkiej chyżości początkowej.

Wracając do wspomnianego już wyżej „Streuung" sztućców, pytamy się jaki stosunek jest najlepszy przy nabojach.

Stosunek ten wyrażony przez ułamek, którego licznikiem jest ciężar pocisku, a mianownikiem ciężar prochu, nazywa się k o e f i c y e n t e m n a b o j u (Landungskoeff.).

Przy karabinie z roku 71 mieliśmy następujące dane:
waga kuli = 25 gr. proch = 5 gr.
koef. naboju = 25/5 = 5. V 25 = 440.
W modelu nowym 6·5 milim.
w. kuli = 10·2 gr. Prochu bezdymnego 2·5 gr. = 10 gramom czarnego (bo proch bezd. ma poczwórną siłę czarnego).
Koef. naboju = 10·2/10 = około 1.
V 25 = 720 m/sec.
„Streuung" karabina z 71 roku = 16 cm.,
nowego = 5 cm.

Widzimy z tego przykładu, że im mniejszy koef. naboju, tem większa precyzya strzału, większą chyż. pocz., naturalnie przy jednakowo sumiennem wykonaniu lufki.

Ponieważ zaś ten koef. da się otrzymać w tak małym stopniu wygodnie tylko przy małym kalibrze, przeto jasnem jest, dlaczego nowoczesna balistyka nań się przerzuciła. W większym kalibrze podobna równowaga musiałaby być okupioną szalonym nabojem prochu i ciężarem broni. Już przy modelu z roku 71, trzebaby użyć 25 gramów prochu. (Dajmy na to uderza nas ciężar broni, której Foa używał). Nie same próby, albo wynalazek jakiś przerzuciły balistykę na tory małego kalibru, ale prosta dyskusya powyższego wzoru.

Wprawdzie możnaby zmniejszyć koeff. przez odpowiednie zmniejszenie ciężaru kuli, ale taka kula nie byłaby w stanie wykonać żadnej pracy, przebić; traciłaby za dużo energii w powietrzu. Wpada się wtedy w szalony błąd, zapomina się o sile żywotnej pocisku. Dla tej samej racyi cienki śrót nie przebija tak silnie jak gruby, choć chyżość początkowa jego jest taka sama i nabój prochu tensam.

Termin techniczny w tym wypadku jest „o d p o w i e d n i e o b c i ą ż e n i e p r z e k r o j u" (nöthige Querschnittsbelastung).

„S i ł a ż y w o t n a p o c i s k u" j e s t t o z a m i a n a r u c h u k u l i w p r a c ę, u j a w n i a j ą c ą s i ę w c h w i l i z a t r z y m a n i a n a g ł e g o p o c i s k u.

Jeżeli się więc mówi o sile żywotnej pocisku 8 mm. Mausera, równającej się 285 meterkilogramom, to rozumie się pod tem, że: jeżelibyśmy kulę z Mausera zatrzymali w biegu a to 25 metrów przed wylotem lufy, to kula ta wykonałaby pracę 275 meterkilogramów.

Uwaga: Meterkilogram jestto praca ciężaru 1 kilograma (Kilogrammschwere) na drodze 1 metra. A więc 285 = 285 kilogramom na 1 metrze.

Od czegóż więc zależy ta siła żywotna?

Wzór jest następujący: $SŻ = \frac{m v^2}{2}$

gdzie m oznacza masę pocisku, v zaś jego chyżość.

Im więc większa masa pocisku, tem większa siła żywotna a to w p r o s t y m s t o s u n k u, gdyż *m* mamy we wzorze w pierwszej potędze.

Po drugie zależy siła żywotna od chyżości pocz. i to w daleko większym stopniu, gdyż V mamy tu w drugiej potędze czyli w kwadracie. Im więc większa chyżość, o tyle już nie w stosunku prostym, ale kwadratowym zwiększa się siła żywotna. Znowu więc decydującym czynnikiem jest ta chyżość początkowa, choć masa też poważną gra rolę. Ponieważ zaś chyż. pocz. da się przy jakiejtakiej masie i ciężarze pocisku tylko przy małym kalibrze w takim stopniu otrzymać, nic dziwnego, że broń ta ma pewne prawo rościć sobie pretensye doskonałości. Nonsensem jednak byłoby twierdzić, że wielka siła żywotna da się tylko przy małym kalibrze otrzymać. Proszę dać na wielką kulę odpowiednią ilość prochu, a wszystko będzie w porządku. Jeślibyśmy w naboju z 71 roku mieli nie 5, ale 20 gramów, to kula miałaby większą siłę żywotną od mauserowskiej.

Ale też do jakich dymensyi doszlibyśmy, a po każdym strzale będzie we łbie huczało jak w młynie! Chodzilibyśmy na polowanie nie z lekkimi sztućcami, ale z małemi armatami, coś a la nowomodne „Schnellfeuergeschütze".

Reasumując naszą dyskusyę możemy powiedzieć:

D o b r y k o e f i c y e n t n a b o j u (mały) d a j e w i e l k ą c h y ż o ś ć p o c z ą t k o w ą i m a ł y „S t r e u k e g e l". O d p o w i e d n i e o b c i ą ż e n i e p r z e k r o j u j e s t j e d n a k p o t r z e b n e (stąd wszystkie nowsze kule mają kształt długi, a nie jak dawniej okrągły) w p r o s t y m s t o s u n k u d o o t r z y m a n i a s i ł y ż y w o t n e j.

Tylko wzajemne rozumne redukowanie i operowanie temi danemi doprowadza do dobrych rezultatów strzału.

Teraz staje się łatwem zrozumienie siły żywotnej.

Jeśli kula zatrzymuje się (choćby tylko częściowo) w zwierzu, to zamienia swój ruch w pracę, ujawniająca się w rozdzieraniu, przebijaniu, ciśnieniu hydraulicznem w naczyniach krwionośnych i komórkach, jednem słowem kula zabija. Dlatego to można powiedzieć, że kula o wielkiej chyżości zabija, bo wielka chyżość w połączeniu z jakątaką masą, daje wielką siłę żywotną, a ta jest identyczną z destruktywną pracą kuli.

Chciałbym tu powiedzieć parę słów o tem, tyle razy wspomnianem, ciśnieniu hydraulicznem.

Ciecz nie jest ścieśliwa, nie daje się komprymować jak gazy, wskutek tego gwałtownie wypchana z jednego miejsca przenosi się na najprostszej drodze w okolicę a przy tem rozdziera naczynia cieczonośne. Ale niedość na tem. Ponieważ naczynia te są wszystkie ze sobą połączone, przeto uderzenie (der Schock) kuli rozpościera się nietylko na najbliższą okolicę, ale rozchodzi się na cały organizm i działa paraliżująco. Uderzając zaś w miejsca więcej cieczą (krwią, wodą) wypełnione, rozsadza je.

I tak dajmy na to, jeśli z bliska strzelimy do blaszanki wypełnionej kompletnie wodą i szczelnie zalutowanej, to kula z nowego karabina rozsadzi całe naczynie w kawałki, zupełnie jakby wewnątrz odbyła się explozya.

Opisawszy wszystkie czynniki, wchodzące w grę przy sztućcu, pytamy się czego można się od broni spodziewać i czego żądać od rusznikarza.

Nieraz czyta się o szalonych rezultatach stosunkowo nędznej broni, której używają traperzy amerykańscy albo cowboje etc. etc. Jak taki pan może z niesłychanej odległości ściągać strzał po strzale orły, strzelać z rewolweru jaskółki, zabijać na 30 kroków gwoździe w ścianę, lub ucinać łby dzikim indykom, pozostanie to zawsze tajemnicą tego, który to napisał. Przecież najlepsze rewolwery mają na 10 kroków już 20 centymetrowy „Streukegel“, cóż dopiero na dalsze odległości; a takie monstra jakich używał „Serce prawe“ albo „Orzeł czubaty“ lub inni bohaterowie w romansach Coopera & Comp. dawały już na 100 kroków 40 centymetrowy „Streukegel“, cóż dopiero na niesłychane odległości, w której krążą orły. Są to bajeczki, które się bardzo przyjemnie od czasu do czasu czyta, ale uwierzyć im trudno.

Dziś technika tak postąpiła, że można na 100 kroków każdym razem trafić wronę z nowego karabinka. Na dalsze odległości pozostanie to rzeczą przypadku, techniczna zdolność broni bowiem odmawia.

Zresztą muszka kryje cel w zupełności, dołącza się więc i błąd w mierzeniu. To było powodem, że musiano szukać za jakimś dokładniejszym wizerem i skonstruowano lunetę myśliwską.

W każdym razie można powiedzieć, że dokładność nowej broni jest tak wielka, że do 200 kroków wystarcza na wszelką naszą zwierzynę zupełnie. Dalsze strzały zwłaszcza do jeleni udają się często, nawet bardzo często, ale już nie zawsze. Z expresów dotychczasowych uważano strzał pewny na 120 kroków. Dalej można strzelać, ale też i można zrobić niczem niewytłómaczone pudło. Teraz można przez lunetę i na 250 kroków wziąć każdego prawie rogacza, nie mówiąc o większej zwierzynie, ale lisa dajmy na to i przez lunetę chybić łatwo. Niemcy, sumienni pod tym względem ogromnie, powiadają, że mały kaliber daje możność strzelania tylko na 180 kroków, bo zapewnia im na tę odległość pewny strzał w komorę. „Obrzucanie“ zwierzyny na dalszą odległość kulami uważają za niemyśliwski proceder. Trudno też żądać, by sztuciec bił na dalsze odległości z tą samą precyzyą. Wojsko może sobie strzelać jak chce, myśliwy tylko tak, by był pewien swego strzału. Unika się nieprzyjemności pudłowania i nie kaleczy i nie męczy zwierza.

Razem z rozwojem balistyki postępowali i rusznikarze. Powstały różne systemy, które najwybredniejszego myśliwego zadowolić powinny. System sam, jako taki nie strzela, pozwala tylko wygodnie nabijać etc. etc. Wybór jego pozostawia się więc każdemu myśliwemu dowoli.

Co do nabojów powiedziałem, czego się w ogólności trzymać należy. Pozostaje omówić niektóre znane systemy nabojów. Kalibry mamy najróżnorodniejsze. Mamy kaliber 500 i 450 express, dające ładną farbę przy dobrym strzale do 120 kroków. Mamy dla zwolenników małego kalibru sztućce 8, 7, 6·5 m/m. Mają one jedną wadę, że przy bardzo kiepskich strzałach, gdzie zwierzyna nie pada na miejscu, dają za mało farby. Mamy i przejścia, a więc naboje do drylingów kaliber 9·5 m/m. długie na 72 i 82 m/m. wystarczające na wszelką naszą zwierzynę, z wyjątkiem łosi i niedźwiedzi. Forma naboju nie gra tu żadnej roli. Jedyną podstawą do ocenienia jest koeficyent naboju.

Przy nieznanych nabojach trzeba uważać na ten koeficyent, dalej na siłę żywotną (a więc i ciężar kuli), wyrachować ją sobie, podstawiając w podanym wzorze wszelkie wielkości i porównać ze znanymi systemami. Można to zrobić w praktyce na mokrej glinie, deskach, chorem bydlęciu etc. etc.

Faktycznie są już systemy, przy których trzeba się zastanowić, czy taka kulka, przy tak małym naboju prochu może wystarczyć. Dochodzi się nieraz do wprost śmiesznych rezultatów. Rogacz idzie jakby nie czuł strzału, ba, nawet głuszce lecą spore odległości.

Można się też zapytać dobrego źródła, co wart nabój i na co może służyć. W niemieckich gazetach, każdy system się omawia; kto tylko broń kupi zaraz pisze o swoich rezultatach, całe tabele podaje. Nasi myśliwi też kupują różne systemy, strzelają z nich z dobrym i złym skutkiem. ale milczą zawzięcie. Należałoby ostrzedz przecież myśliwych przed nieudałą bronią. Może to poskutkuje. Mnie brak czasu niepozwala na omówienie tylu systemów i tylu naboi z osobna, podałem tylko dwa extrema z 71 i 88 roku. Kto więc ma nieznany ogółowi system i naboje, niech pisze o nich, to lukę zapełni.

W ogóle przestrzedz należy przed nabojami poniżej 1 grama prochu bezd. i nabojami nietylko małokalibrowymi, ale i małoprochowymi. W ostatnich czasach pokazały się one przy drylingach, których wagę zredukowano w ten sposób do minimum.

W każdym razie lepiej żeby kula trochę popsuła pieczyste, niż żeby zwierzyna ginęła po paru dniach.

Tych danych się trzymając, będzie mógł myśliwy wybrać sobie broń silną, niezbyt lekką, o ostrym naboju i niech będzie pewien, że jeżeli kula przy wielkiej chyżości pocz. będzie mieć dobrą wagę, niech sobie będzie kaliber wielki, czy mały, to zwierzyna będzie padać, nawet przy złym strzale w miękkie.

Kończąc moją pogadankę, proszę jeszcze raz wszystkich myśliwych, by robili doświadczenia na wszystkiem możliwem i w ten sposób teoryę poparli praktyką. Pisząc zaś o tem w *„Łowcu“*, dorównamy zagranicy, która faktycznie pod tym względem nas wyprzedza. Polowanie ustaje, mamy czas na próby, a więc róbmy co możemy! Materyału do prób nam nie braknie. Tych zaś pp. myśliwych, którzyby się bardziej tą kwestyą zajęli, proszę, by zwrócili się do mnie, a chętnie o ile będę mógł i czas mi pozwoli, służyć będę bardziej fachowemi, czysto matematycznemi wiadomościami.

Wiedeń, dnia 25. stycznia 1904.

Adam Ebenberger.



Sprawozdanie delegatów.

Rok 1903 nie należał do pomyślnych dla zwierzyny, zwłaszcza w naszych okolicach; ciągłe słoty trwające do połowy sierpnia zrobiły swoje, ucierpiały przez nie głównie kuropatwy i zające. W roku 1902 było u nas kuropatw tak wiele, jak od lat 11 nie pamiętam i po sezonie zostało na obszarze Dobromila, Huczka i Boniowic około 140 sztuk które przezimowały wybornie, gdyż z wiosną wszędzie było widać pary, nawet w miejscach, w których, dawniej kuropatw nie bywało. Jakież rozczarowanie z końcem sierpnia! Młodych kuropatw nie było nigdzie, tylko stada po 6—9 starych kuropatw, a przy nich po jednej lub dwie młode. Nie

polowaliśmy też prawie zupełnie, aby ich do reszty nie wyniszczyć, i jak widzę bardzo słusznie, gdyż obecna zima dla nich dobrą nie będzie, śniegu wprawdzie nie wiele, lecz wskutek odwilży zamarznięty zupełnie, trudno więc będzie biednym kuropatwom coś z pod śniegu wygrzebać.

Zajęcy również nie wiele, chociaż w naszych okolicach nie ma widoków, aby się mogły kiedyś rozmnożyć, za wiele tu dwu i czteronożnych amatorów polowania.

Przepiórki wyginęły doszczętnie, mniej tu można winić nieprzyjazną aurę, jak bezmyślne niszczenie na południu, podczas przelotu. Czas byłby najwyższy, aby temu w drodze międzynarodowej umowy zapobiedz, jeżeli dalej tak będą przepiórki niszczone, to za lat parę miły ten ptaszek figurować będzie tylko w muzeach. W obrębie trzech wyżej wspomnianych gmin padła tego roku 1 przepiórka, gdy dawniej można było z łatwością w ciągu kilku godzin zabić kilkanaście. Nawet na wiosnę słychać ich nie było.

Słonek na wiosnę było mało, w jesieni zdawało się z początku, że ich także nie będzie, dopiero w drugiej połowie października pojawiły się masami i to w miejscach, w których ich zwykle nie bywało. Nie miałem czasu i sposobności za niemi chodzić i zaledwie 3 razy polowałem na nie, z tego raz wśród zamieci śnieżnej 20. października w Miłowicach koło Rudek.

Błota nie dopisały w tym roku zupełnie, przez 5 dni które poświęciłem tej przyjemności w Chłopczycach i Koszkach siemianowskich (powiat Rudki) widziałem aż 2 dubelty! Kszyków było również nie wiele i tylko wielkiemi stadami, kaczek mało, zdaje się że wylew Strwiąża musiał gniazda zatopić.

Uczestniczyłem w następujących polowaniach:

20. października w Michalowicach, (p. Albina Rayskiego), około 50 morgów lasu, polowaliśmy w 4 strzelby, wśród zamieci śnieżnej, padły 4 zające, 3 słonki, 1 kuropatwa.

19. 20. listopada w Urożu (powiat Drohobycz) pierwszego dnia 7 strzelb, drugiego 5 strzelb (razem z leśnymi) 6 rogaczy, 12 zajęcy.

18. grudnia w Nowem mieście 6 strzelb, 2 rogacze, 13 zajęcy, 3 lisy.

5. stycznia w Chłopczycach (pow. Rudki) 15 strzelb, 13 rogaczy, 15 zajęcy, 1 lis, pierwszy miot był śliczny, 5 rogaczy i 2 zające.

Dobromil 8. stycznia 1904.

Dr. Stefan Puchalski
delegat dobromilski.

Korespondencye.

Dnia 23 stycznia odbyło się polowanie w Postołówce, w lasach należących do ordynacyi Chorostków, własności hr. Stanisława Siemieńskiego. Zabito w 11 strzelb: rogaczy 21, zajęcy 70, lisów 3. Stan sarn znakomity, rogaczy mogło było paść więcej, w każdym zakładzie po kilkanaście sztuk sarn przechodziło przez linie strzelców i przez flanki, mimo, że te ostatnie dobrze przez nagonkę były obstawione. W zakładzie po śniadaniu było całe stado złożone z 17 dzików, mądre te zwierzęta zdołały ujść bezkarnie, przebiwszy się przez nagonkę.

Polowanie było znakomicie prowadzone z dwoma nagonkami, szybko i bez pomyłki, co się niestety czasem zdarza przy dwóch nagonkach. Królem polowania był JExc. hr. Leon Piniński, który zabił 9 rogaczy i kilkanaście zajęcy. Postołówka leży w Szwajcaryi naszego Podola, w tak zwanych Miodoborach. Myśliwi oprócz wielkiej ilości rozmaitego zwierza, mogli wzrok swój nacieszyć pięknymi widokami gór, parowów i wzorowem utrzymaniem lasów.

Aleksander hr. Potocki,
delegat pow. Buczacz.

Starzyska 24. stycznia 1904.

Z prawdziwą trwogą jechałem na polowanie do Kornalowic, by skorzystać z łaskawego zaproszenia mego przyjaciela p. F. Sozańskiego, z listu bowiem jego musiałem wywnioskować, że niestety nie zdrów, i że brak zwierzyny zupełny. Co do choroby mego przyjaciela uspokoił mię zaraz po mem przybyciu na miejsce jego wygląd aż nadto zdrowy, co do braku zaś zwierzyny — to już z domu wywiozłem pewne wątpliwości.

W nielicznem towarzystwie, gdyż w 8 strzelb wyruszyliśmy do lasu, oglądając po drodze w polu mnogie stado sarn, (przeszło 100 sztuk), które w żaden sposób do lasu zapędzić się nie dają. Sądziłem, że wszystkie sarny wyszły w pole, lecz po wjeździe do lasu łatwo się można przekonać, że i w lesie ich pełno, gdyż zajeżdżając pierwszy miot wszędzie widzieliśmy sarny leżące obok tryzub z najrozmaitszymi dla nich przysmakami. Już w pierwszym miocie rozpoczęliśmy istną tyralierkę — po kilku miotach zaczęła większa część towarzystwa trwożliwie spoglądać na swe torby z ładunkami, zaś już o 2-ej godzinie zmuszony był gospodarz posłać po ładunki do domu, którymi obdzielił szczęśliwych, którzy mieli strzelby odpowiedniego kalibru.

Niestety już przed godziną 4-tą i ładunki naszego gospodarza się wyczerpały, co nas zmusiło do powrotu do domu dla ogólnego braku ładunków! — Nie wzięliśmy z tej tylko przyczyczy dwu doskonałych miotów, choć czasu było na to podostatkiem.

Ogólny rezultat polowania był: 12 rogaczy, 3 lisy, 115 zajęcy w 8 strzelb. O gościnności, wzorowem prowadzeniu polowania i t. d., po takim wyniku polowania nawet donosić nie wypada — chyba tylko w imieniu towarzyszy i swojem gospodarza poprosić, by o nas w roku przyszłym nie zapomniał, przyrzekając, że jeśli on o nas — to i my o ładunkach nie zapomniemy. *A. W.*

Uhryń 24. stycznia 1904.

Dnia 20. 21. 22. b. m. odbyło się polowanie w Jabłonowie u pp. Cieńskich. Polowaliśmy w tej prześlicznej kniei pierwszego dnia w odwilż, dni zaś następne były bardzo piękne. Gospodarzowi chodziło o to, żeby cała drużyna myśliwska składająca się z 14. myśliwych, miała prawdziwe gody w strzelaniu, to też grzmiała cała knieja od salw, jakie w każdym miocie dawaliśmy, rzecz naturalna, że zdybni myśliwi choćby dla tradycyi więcej mieli do czynienia ze swemi „Krupówkami“, czemu żaden gospodarz a nawet tak dobry myśliwy i umiejący z taką finezyą urządzić nam polowanie, nie mógł równo rozdzielić pomiędzy gorliwych wyznawców św. Huberta udziału w tej biesiadzie myśliwskiej; nawiasem zaś powiedziawszy św. Hubert zupełnie mnie po macoszemu nie traktował a nie chcąc tu szczegółowo wymieniać swoich sukcesów i pudeł moich, podaję ogólnikowo cały rozkład z trzech dni tych iście królewskich łowów a mianowicie: zajęcy 282, kozłów 60, lisów 19, dzików 4. *Tadeusz Potocki.*

Komarów, 24 stycznia 1904.

Dnia 12 stycznia b. r. polowaliśmy w 9 strzelb u WP. Zakrzewskich w Wiktorowie. Dzień był mroźny, pogodny, zrana trochę wietrzny. Knieja to podgórska i zajęcy w tych stronach niema tak dużo, jak w lasach podolskich, zato dzik i od kilku lat jeleń częstym bywa gościem. Zajeżdżając na stanowiska, widzieliśmy świeże tropy dwóch dużych dzików, które niestety wyszły z kniei. — Śniegu było niewiele, role i oziminy prawie odkryte, nie wszystkie więc zające do kniei ściągnęły. Mimo tego strzelaniny było dużo i mieliśmy na rozkładzie: 24 zające, 2 lisy, rogacza i sowę uralską. Były i jarząbki, lecz uszły bez strzału.

Po polowaniu, gościnni gospodarstwo hojnie podejmowali w swym domu myśliwską drużynę. Wieczór przeciągnął się do późnej godziny, wśród ożywionej rozmowy, błyszczącej werwą i szczerym humorem, pozostawiając uczestnikom najmilsze wspomnienie.

Jerzy Tyszkiewicz.

Kraków 24. stycznia 1904.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zastanawiając się nad różnymi artykułami, umieszczonymi w Łowcu, omawiającymi szeroko sposoby zastąpienia niemieckiego przywitania myśliwskiego „Weidmanns'heil“, polskiem, — zdziwiło mnie niezmiernie, dla czego nie używa się po prostu tak pięknego i prawdziwie polskiego przywitania „Szczęść Boże“ i odpowiedzi „daj Panie Boże“. Czy przypadkiem Weidmanns'heil, jest czem innem jak życzeniem szczęścia? I dla tego, że go sobie życzymy po niemiecku, a nie po polsku, ma to nas zabezpieczyć od nieszczęścia czyli niespotkania? Wszak przejeżdżając koło żniwiarzy i witając ich „Szczęść Boże“ żadnej im ujmy w zbiorze nie przynosimy. Wzywając Św. Huberta jak niektórzy sobie tego życzą, wzywamy wprawdzie patrona myśliwych, i możemy od niego szczęścia w naszych łowach żądać, lecz tu witania i życzenia nie widzę. Toteż wezwanie to się nie przyjęło i prawdę mówiąc nigdzie go dotąd nie słyszałem; natomiast nowe przywitanie używane w Księstwie Poznańskim „cześć myśliwym“ jest co najwięcej powitaniem ogólnem. Że się czci myśliwego, jest to bardzo chwalebne, jeżeli szczególnie na to zasługuję, ale dla czego mu nie życzyć szczęścia? Czyż myśliwy XX. wieku miałby przesądy? A zatem piewszy zaczynam i przypuszczając, że do samych dobrych myśliwych się odzywam, zasyłam całej szanownej Redakcyi Łowca „Szczęść Boże“.

Stanisław Wodzicki.

Wróblewice, 25 stycznia 1904.

Z niezmierną radością czytałem list od p. Aleksandra Skibniewskiego, wzywający mnie na polowanie w Hliboce dnia 15 i 16 grudnia.

Bukowiny zupełnie nie znałem, więc tem bardziej ciekawy byłem poznać tamtejsze polowanie i okolice. Położenie górzyste, jary i wąwozy, nad którymi wznoszą się wspaniałe buki, drzewostan tu dominujący, a gdzieniegdzie dąb i wysmukła brzoza. Polowanie świetnie prowadzone z energią. Gospodarz sam nas rozstawiał. Stan zwierzyny nader piękny, urozmaicony znaczną liczbą jeleni, bardzo miłą niespodziankę oznajmił nam gospodarz, że 3 możemy odstrzelić. Pogoda dopisała, mały śnieg, 6 stopni mrozu. Na rozkładzie znalazło się: 2 jelenie, 6 rogaczy, 5 lisów, 61 zajęcy. Dziesiątak przypadł niżej podpisanemu, pierwszy jeleń w życiu od expresowej kuli rulował w ogniu.

Bardzo miłe wspomnienia wywieźliśmy z Hliboki, szczerze wdzięczni gospodarzowi za gościnne przyjęcie a tak piękne łowy. *Jan Tarnowski.*

Łańcut, 12 lutego 1904.

Wobec nieustającej i ciągłej debaty w Sejmie naszym nad koniecznością zmiany ustawy łowieckiej, słów parę jeszcze w tej kwestyi przemówić sobie pozwolę.

Ciekawem jest przecie, że ci pp. Posłowie (opozycyoniści) tak jednostronnie na rzecz zapatrują się, dają posłuch narzekaniom włościan na złą i nieodpowiadającą teraźniejszym warunkom ustawę łowiecką, nie raczą zaś zadać sobie chociaż najmniejszego trudu gruntownego zbadania rzeczy samej i posłuchania również i drugiej strony, czy ta nie ma tak samo jakich zarzutów, nie ma co do powiedzenia na swą obronę, czy nie ma racyi jakiej, dlaczego tak a nie inaczej postępuje i dopiero po tak wszechstronnem obrobieniu i zbadaniu rzeczy, wnioski odpowiednie a nie krzywdzące żadnej strony przedkładać i starać się o ich przeprowadzenie i uchwalenie należy.

Bardzo to pięknie jest wprawdzie bronić i starać się cośkolwiek zrobić i uzyskać w Sejmie, czy też w Radzie Państwa dla tej kasty społeczeństwa, z woli której zostało się posłem, trzeba tylko obowiązek ten spełniać sumiennie a obronę popierać faktami rzeczywistymi, obstawać i bronić swojej partyi, lecz równocześnie drugiej partyi nie należy krzywdzić i błotem obrzucać.

Nie jestem właścicielem większej posiadłości, ani też nie posiadam i nie dzierżawię na własną rękę żadnego terenu polowania, żyję z pracy rąk i wiedzy nabytej w szkołach, wyszedłem z ludu i wśród niego od młodości obracam się i żyję, znam go tedy dobrze, wiem, co go boli i dolega, wiem też dobrze, jak łatwo da się pozyskać przez krzykaczy i do złego nakłonić, jak jest łatwowiernym, jak prędko i na chwilę zawierzy, a później tego odżałować nie może, a szczególnie jak łatwo da się namówić do nieufności i nienawiści, a zawsze prawie w tedy tylko, gdy chodzi o sprawę z panem, czy też przeciw panu, bez względu na to, czy on (ten pan) jest nędzarzem, urzędnikiem, czy też właścicielem większej posiadłości, dość że „w surducie“, a wtedy to już do wszystkiego jest zdolnym. Nie mam tedy w niniejszym wypadku myśli krzywdzenia ludu, przeciwnie zawsze broniłem ludu i na korzyść ludu działałem, to też wszelkie moje zamiary i potrzeby służbowe w dobrowolny sposób i przy obopólnem porozumieniu się, zdołałem zawsze od ludu uzyskać i przeprowadzić, a to chyba jest dostatecznym dowodem, że go znam, kiedy postępować z nim potrafię.

Bronię zaś niniejszej sprawy z dwóch powodów, — raz, że lubię zwierzynę i chciałbym, aby stan jej do jak najświetniejszego doszedł, powtóre bronię właśnie w ten sposób ludu wiejskiego, bo chcę sprowadzić go ze złej i mylnej drogi, a naprowadzić na właściwą i taką, na którejby w zgodzie i jedności z innemi kastami społecznemi i właścicielami większych posiadłości, żyć i do lepszego bytu tak materyalnego jak i moralnego doprowadzić mógł. Bronię wreszcie niniejszej sprawy jeszcze i dlatego, gdyż widzę w postępowaniu i zabieraniu głosu w tej kwestyi „niektórych pp. posłów“ jednostronność i brak gruntownego rozpatrzenia faktu, i należytej świadomości rzeczy i stosunków wiejskich, co niniejszem poniżej będę się starał udowodnić.

Z licznych mów niektórych pp. posłów sejmowych, łatwo wywnioskować, iż największą bolączką (że się tak wyrażę) i główną niedogodnością dla naszego włościaństwa w obecnej ustawie łowieckiej jest wrzekomo za małe i nieodpowiedne wynagrodzenie włościan za wyrządzane szkody przez zwierzynę łowną w polach.

Nie wiem! może to gdzie ma racyę i jest słusznem, tu jednak u nas i to w dalekim promieniu od Łańcuta, zupełnie inaczej się dzieje, — raczej może włościanie na tym punkcie starają się i prawie zawsze wyzyskują właściciela prawa polowania. Może kto inny jeszcze i z innej części kraju naszego również zabierze głos i udowodni to samo, co i ja niniejszem uczynić pragnę.

Faktem n. p. jest, że włościanie z umysłu sieją hreczkę, groch, konicz, sadzą kapustę i t. p. rzeczy jak najbliżej lasów, bażantarń i wogóle miejsc, w których najwięcej zwierzyny przebywa, na to tylko, aby później podnieść krzyk, że mu zwierzyna wielką szkodę wyrządziła, a gdy otrzyma wynagrodzenie za zrządzoną szkodę przez zwierzynę, w cichości wyśmiewa właściciela polowania, bo rzeczywiście zwrot za wyrządzoną szkodę więcej mu nieraz przynosi korzyści z danego kawałka pola niż zbiór naturalny.

Innym razem idzie n. p. włościanin nocą na swe pole, pozrywa strączki fasoli, grochu czy też kwiaty koniczu, a na drugi dzień rano idzie do dozorcy polowania czy też leśnego z zażaleniem, że mu zwierzyna wielką szkodę wyrządziła, no i prosi, aby mu ją oszacować i wynagrodzić. Często bardzo podobny manewr udaje mu się, ale czasami trafia na doświadczonego dozorcę, a ten stara się odszukać śladów czy też odchodów zajęczych, które tu przecie być musiały, aby szkodę tę wyrządzić mogły, a nie odszukawszy w taki sposób śladów bytności zwierzyny, przychodzi do powyższej konkluzyi, no i rzecz jasna, włościaninowi żadnego odszkodowania nie przyznaje. Miałem raz znów zdarzenie, że meldowano mi, jakoby sarny w oziminie na wiosnę wyrządziły wielką szkodę pewnemu włościaninowi, wyjechałem wtedy sam, oglądam, widzę rzeczywiście niemałą szkodę, ale równocześnie dziwię się, skądby tu tak wiele sarn mogło przyjść, aby podobną szkodę wyrządzić mogły, no i przy dokładniejszem badaniu stopek rzekomych sarn, przekonałem się, że to nie były sarny, lecz zwykłe owce wiejskie, te bowiem robią na ziemi odciski szersze i nie tak ostre jak sarny. Naturalnie, odszkodowania żadnego nie przyznałem właścicielowi, a w zamian za to w dwa dni później od innego pastucha dowiedziałem się, że pastuch tego włościanina, pasąc obok na ugorze owce usnął, a te weszły na oziminę i szkodę ową wyrządziły, pastuch przebudziwszy się zobaczył szkodę, i bojąc się gospodarza, aby go nie obił, doniósł, mu że sarny w oziminie jego szkodę wielką wyrządziły.

Innym znów razem taki miałem fakt: zameldowano mi, że bażanty pewnemu włościaninowi w kartoflach znaczną szkodę wyrządziły, — posłałem dwóch strażników, aby ową szkodę opatrzyli i oszacowali, a ci przyznali owemu włościaninowi 5 złr. odszkodowania, ten jednak na to przystać nie chciał i tak długo chodził i prosił, aż sam musiałem wyjechać i sprawdzić, o ile w żądaniu tem jest słuszności, — no i co znalazłem, oto, że wrzekomą szkodę nie bażanty, lecz myszy wyrządziły, na uszkodzonych bowiem kartoflach, tu i owdzie jeszcze leżących, znalazłem odchody mysie, zaś śladów po bażantach, jak dołków, w których się grzebią i pławią i piór nigdzie nie zdybałem, resztę zaś szkody zrobił jakiś dwunożny zwierz w nocy, bo powydzierał całe krzaki kartofli i do domu zabrał.

Dalej miałem takie zdarzenie: oto pewnemu włościaninowi wykopał ktoś i zabrał z ogrodu parę drzewek owocowych, a że równocześnie zające ogryzły dalszych kilka szczepków, — wysłani strażnicy opatrzyli i oszacowali naturalnie tylko szczepki ogryzione przez zające, włościanin jednak ów na to nie przystaje i domaga się zapłacenia i tych drzewek skradzionych, twierdząc, kiedy zające te ogryzły, to i tamte musiały zniszczyć. Miałem wreszcie taki fakt, że przychodzi do mnie chłop i prosi, abym wyjechał i opatrzył szkodę wyrządzoną wrzekomo przez sarny na jego polu, przybrawszy sobie jeszcze jednego strażnika i taksatora gminnego, chodzimy po owem polu długą chwilę, ale szkody znaleść nie możemy żadnej, chłop jednak obstaje przy swojem i powiada, „proszę, tu są ślady sarn, tu wczoraj stały, sam je widziałem", nie dał się przekonać i jak najostrzej zapłacenia jakowegoś domagał się.

Jakże więc trudno włościaninowi w podobnych wypadkach wytłumaczyć, że szkody nie ma, a za nic płacić przecież trudno, jak to trudno wyłożyć mu i przekonać, że za to właściwie płaci się za dzierżawę prawa polowania, aby przecież ta zwierzyna na polu jego przebywać mogła; to go jednak nic nie obchodzi, za dzierżawę polowania pieniędzy i to dużo chciałby brać, ale zwierzyny na swem polu ścierpieć nie może, żąda za byle co wynagrodzenia, tępi i niszczy zwierzynę w rozmaity sposób i przy każdej sposobności.

Faktów podobnych mógłbym setki jeszcze przytoczyć, ale te myślę więcej i lepiej już rzeczy nie wyjaśnią, a dużo nadto miejsca i czasu zabrałyby, dlatego poprzestaję na tem, a spróbuję sprawę niniejszą z innej jeszcze strony przedstawić, a przekonam może wielu, że za dużo krzyku podnoszą, a mało racyi w tem mają.

We wsiach, Czarna powiatu łańcuckiego, a Łukawcu, Łące i Terliczce powiatu rzeszowskiego, od szeregu lat prawo polowania gminnego dzierżawił skarb łańcucki i w czasie tym za szkody wyrządzone wrzekomo przez zwierzynę płacił bajeczne nawet sumy, jak n. p. w Czarnej, a trzeba wiedzieć, że to gmina jedna z mniejszych, płacił rocznie przeciętnie 1.200 koron. Obecnie w gminach tych prawo polowania dzierżawią włościanie, i ci niejeden raz do roku, jak to dawniej skarb łańcucki zwykł był czynić, ale ciągle, niemal co drugi dzień, chodzą i tłuką się po polach włościańskich, czem, rzecz jasna, nie małą wyrządzają szkodę w polach włościańskich, zaś zwierzynę niszczą doszczętnie, bijąc co im pod lufę przyjdzie, pomimo to, odszkodowania żadnego nie płacą i jakoś dobrze i cicho siedzą inni i reszta włościan z tych wsi, pomimo, że tak samo jak dawniej zwierzyna szkodę w polach wyrządza. Tracą więc paręset koron rok rocznie, bo i odszkodowania żadnego teraz nie dostają i majątek gminy podupada, bo zwierzynę do nogi wybijają i niszczą i nikt w przyszłości, tego co dziś brali, ani w połowie gminom nie zapłaci, bo nie będzie za co. Powiedzą niektórzy może, a więc dobrze, dlaczegoż tak dalej i wszędzie po wsiach być nie może i dlaczego włościanie wszędzie polowania dzierżawić nie mogą. Niech jednak ci, tak rzewni obrońcy „niewłościan", (bo prawdziwy włościanin, gospodarz pracowity i uczciwy, nie pragnie i nie chce polowania dla siebie, bo wie, że polowanie korzyści nie przynosi a raczej stratę i gdy on polowania pilnować będzie, to grunt jego i całe mienie podupadnie i zniszczeje), — ale warcho-

łów wsiowych, pędziwiatrów, zwanych kłusownikami, doglądną a zobaczą, jaki to skutek podobnej gospodarki łowieckiej? nie dość bowiem, że tacy zwierzostan sąsiedni kompletnie wyniszczą, a nadto u siebie, tam, gdzie dzierżawią, wszystko do nogi wytłuką, tak, że na owym terenie i na lekarstwo nie znajdzie nie już sarny, ale nawet zajączka i kuropatwy, — ale gdy już wszystko wybiją i wyniszczą, chodzą i starają się, aby skarb lub kto inny polowanie to gminne od nich wziął.

Do czegoż to wszystko doprowadzić może? raczej nie potrzeba nam wcale i żadnej ustawy łowieckiej, kiedy nie wspomagamy takich, którzy zwierzynę pielęgnują i starają się tę część bogactwa krajowego podnieść, a dopomagamy i bronimy tych, którzy przeciwnie postępują, wyzyskują tylko i niszczą zwierzynę; chyba chcemy, aby doszło podobnem postępowaniem do zupełnej dewastacyi na tem polu kultury krajowej.

Wielu krzyczy i są przeciwnikami tępienia lisów, psów i kotów w polach, twierdząc, że przez to myszy nadmiernie rozmnażają się i niszczą dobytek włościanina, bo nie ma je komu wyłapywać i niszczyć. Proszę bardzo, jest przecie dowiedzionem, że lisy, psy i koty tylko przypadkowo gdzie jaką mysz złowią i wtedy tylko, gdy nie uda się im zajączka, kuropatwę, przepióreczkę lub też jakiego bażanta upolować, a że mam słuszność, udowadniam tem, że przecie dawnemi czasy nikt lisa, psa i kota nie zabijał i nie tępił, a przecie klęski mysie i to może nawet szersze i częstsze kraj nasz nawiedzały, widocznem jest, że zwierzęta te myszy wvtępić nie zdołają, ale za to zwierzynę pożyteczną łowną zdziesiątkować i wyniszczyć potrafią, gdyż dawniej lisów, psów i kotów dużo było, ale zwierzyny nie było; dziś zaś lisów, psów i kotów w polach mniej, ale za to jest zwierzyny więcej, a to przecież, czemu chyba nikt nie zaprzeczy, jest poważną gałęzią gospodarstwa krajowego i stanowi wraz z opłatą za dzierżawę polowań gminnych i za karty myśliwskie poważną cyfrę i rubrykę w dochodach i budżecie krajowym.

Wszystko jednak powyżej przezemnie przytoczone, objaśnione i udowodnione, w oczach krzykaczy i nibyto opiekunów ludu naszego, nie ma znaczenia, zmyślonem się im widzi, a znając słabość ludu i wyzyskując ciemnotę, niedołęztwo i niedokształcenie tegoż, wszystkie podobne a powyżej naprowadzone fakta, obracają inną stroną, mylnie i inaczej ludowi tłumaczą i używają jako bicza i broni w niniejszej sprawie przeciw właścicielom polowania i obecnej ustawie łowieckiej, a pozyskawszy podobnie niecnymi manewrami lud wiejski na swą stronę, używają go do popierania celów swoich osobistych i do przeprowadzenia i przeforsowania spraw, jakie mają dla nich samych tylko znaczenie i wartość, bynajmniej zaś dobra ludu, polepszenia bytu i doli jego na myśli nie mają, bo później, dopiąwszy swego celu i uzyskawszy to, co zamierzali, lud wiejski, jako grat niepotrzebny im więcej odrzucają i zupełnie o niego już nie dbają, — a wtedy lud nasz przychodzi nieraz do refleksyi i widzi, że źle go informowano i uczono, ale to już za późno, a rozgoryczenie tem większe powstaje i tem większa nieufność do wszystkiego i do wszystkich u ludu naszego zakorzenia się. Do czego podobnem postępowaniem doprowadzić można i jak głęboko zakorzenia się u ludu naszego nienawiść i nieufność przeciw wszystkim, których „panami“ nazywają, niech posłuży okoliczność, jaka mi się tego roku wydarzyła.

Wiem to z doświadczenia, że nie bardzo jest to miłem właścicielowi, gdy koło czegoś rok lub też lat parę chodził i pracował, zobaczy raptem owoc pracy swej zniszczonym, chociażby nawet za szkodę powstałą został wynagrodzonym. Kierując się więc tem i chcąc poniekąd rozgoryczenie złagodzić i uchylić nastąpić mogące szkody, jakie zwykle zające wyrządzają w ogrodach i sadach, gdy nastanie ciężka i śnieżna zima, prosiłem jesienią wszystkich wójtów w gminach, gdzie prawo polowania dzierżawi ordynacya łańcucka, aby głosili i przestrzegali włościan, a zarazem pouczali, jak drzewka swe w ogrodach od szkód przez zające ochraniać i zabezpieczać mają; nadto dozorcom polowania nakazałem, aby wszędzie i każdemu radzili i nakazywali drzewka owocowe słomą obwiązywać, lub też ogrody swe tak zabezpieczyć i ogrodzić zechcieli, aby zające do środka wcisnąć się i szkody w drzewkach wyrządzać nie mogły.

Zdaje mi się, że do podobnego postępowania nie byłem obowiązany, ani też moją rzeczą było komuś ustawę przypominać i brzmienie tejże tłumaczyć, a względnie jak ma postępować i co robić, aby szkody nie poniósł, ta (ustawa) bowiem powiada jak najwyraźniej, „nieświadomość ustawy nikogo nie tłumaczy“, czyli, że ustawę każdy powinien znać, — gdy zaś tak postąpiłem, była to dobra tylko moja wola i chęć utrzymania miłych i sąsiedzkich a dobrych stosunków z włościanami.

Niejeden zapewne z panów towarzyszy pomyśli sobie, że zapewne rad moich usłuchali, a może nawet dziękowali; niestety! inaczej się stało, — oto wielu było takich, którzy moje dobre myśli i chęci inaczej zrozumieli, unosili się, wygadywali niestworzone rzeczy i wykrzykiwali, wyrażając się: „kiedy wasz pan taki mądry, to niech nam da drzewa i słomy, to zagrodzimy ogrody, a drzewka obwiążemy“.

Taka to konsekwencya i skutki postępowania i prowadzenia dzisiejszego ludu wiejskiego przez tych ich wrzekomych obrońców!

Za polowania chcieliby brać duże sumy, zwierzyny zaś na swoich polach ścierpieć i widzieć nie chcą, pola i ogrody chcieliby mieć ogrodzone przez właściciela polowania, za byle jaką szkodę, a czasami i żadną, chcieliby dostać wysokie wynagrodzenie, a nadto chcieliby razem i wspólnie z właścicielem polowania polować i mieć przytem korzyść, a gdy to nie idzie, w podstępny i zdradziecki sposób na zwierzynę dybią, strzelają nocami i na zasiadkę, łapią w sidła i zatrzaski, lub też podczas lęgu i gdy płody swe rolne w polach latem obrabiają, motykami i rydlami niszczą całe gniazda młodej a niedołężnej zwierzyny łownej, byle tylko właścicielowi polowania szkodę zrobić, byle zniszczyć wszystko to, z czego jemu samemu użytku zrobić nie dadzą i nie pozwalają.

Tak to lud nauczają i prowadzą! Wszystko, co nie włościańskie a pańskie, to nieprzyjaciel! trzeba to uszkodzić i zniszczyć i niech nikt z tego nię korzysta. Ale czy to dobra i właściwa droga i czy to doprowadzi kiedyś do lepszego moralnego i materyalnego bytu, powątpiewać sobie pozwolę; przeciwnie, myślę, że kiedyś lud ten przyjdzie do świadomości i otworzą mu się oczy i kiedyś tej samej broni, jaką mu dziś w dłoń wciskają, użyje przeciw dzisiejszym swoim opiekunom i rzeczywistym wrogom.

Lista ubitej zwierzyny na polach ordynacyi łańcuckiej w roku 1903.

Zwierzyna drapieżna:

Lisów	89
Psów	297
Kotów	643
Łasic	465
Tchórzy	117
Kun	11
Wydr	—
Borsuków	5
Jastrzębi dużych	156
„ małych	150
Wron-srok	2512
Razem	4440

Zwierzyna pożyteczna:

Kurek karlich	19
Gołębi dzikich	2
Rogaczy	60
Zajęcy	610
Bażantów	2787
Kuropatw	203
Przepiórek	10
Chruścieli	11
Słonek	4
Dubeltów	8
Kszyków	48
Kaczek: krzyżówek, „ cyranek	401
Dzikich gęsi	2
Razem	4151

Uwaga: Z powodu żałoby po śp. Jej Excelencyi hrabinie Alfredowej Potockiej, wielkich polowań tego roku niebyło i powyższą zwierzynę ubito na mniejszych polowaniach i przez straż łowiecką; rezultat przeto całorocznego zestawienia ubitej zwierzyny o tyle mniej korzystnie przedstawia się, szczególnie na zające prawie nie polowano; kuropatw było zaś u nas bardzo mało, gdyż wyginęły z powodu za mokrego lata, a przepiórek tak jakby nie było, co roku coraz to mniej ich do nas przybywa.

Wł. Lewicki.

Lwów 26. stycznia 1904.

Przyjechawszy 24. stycznia do Dusanowa, zastaliśmy raport straży lasowej: wyżej 30 dzików różnej wielkości. Tę wiadomość potwierdził tamtejszy dzierżawca, który wracając wieczorem do domu, widział pod lasem około trzydzieści sztuk w jednem stadzie. — Fantastyczne marzenia ukołysały naszą drużynę do snu — ale nie przypuszczaliśmy, aby nazajutrz rzeczywistość przeszła marzenia, gdyż zwykle dzieje się odwrotnie. Knieja dusanowska jest to teren górzysty, porośnięty lasem liściastym, poprzerzynany potokami — stary drzewostan dostarcza dziczych konfitur w formie bukwi żołędzi — a zapusty gęste okryte bronzowym zeschłym liściem, to z komfortem urządzone sypialnie dziczego rodu. Pierwszy miot, długi grzbiet góry, staliśmy nad potokiem, przed nami ubocz ze stromym spadem, przez pół stanowisk zapusty gęste, przed drugą połową drągowina, wszyscy widzieliśmy paręset kroków przed sobą. Rozkaz, pierwszy strzał do dzika, proszę strzelać do dzików przed siebie w miot, aby ich nie wypuścić za linie. Sygnał dany, ale gonu nie słychać, bo zaczęto za górą — słychać łomot — każdy podniecony patrzy w miot, myśli że co najmniej rinoceros nadchodzi, ale to tylko sarny po zeschłym liściu galopują przez linie strzelców, każdy pochyla głowę, aby się przypatrzyć, tak że szczególniej młode kózki musiały sobie potem opowiadać, jak to im się kłaniano i jacy to uprzejmi ci myśliwi. Miot był tak obstawiony — na dole na flance dwóch, na głównej linii dziesięciu, na prawej flance trzech, razem piętnastu.

Usłyszeliśmy kałatawki, przed pierwszym myśliwym słychać szum, jakby szedł poważnem tempem bumler na której z bocznych małych naszych kolei — ten podług rozkazu strzela do pierwszego warchlaka w miot i zabija, bumler zmienia się w błyskawiczny, w szalonem tempie galopują dziki po kilka poprzed linię strzelców, palba się zbliża, dziki oddalają się od linii koło Nr. 12, następnie strzelają Nr. 13, 14, 15 flanka — wynik: 9 dzików, 3 postrzelonych mają szukać. Było w tym miocie jak twierdzą jedni wyżej 40 sztuk, o ile ja się doliczyć mogłem, było sprawdzonych 36, widziałem w ostatniej chwili przed sobą w miocie idące na flankę trzy, poniżej dwie, potem dziewięć, na lewo dwie, na uboczu trzy, razem 19 sztuk, a z tego grona już było 6 zabitych; był to miot królewski, na podobny lata czekać trzeba. Miot drugi: jeden odyniec, trzeci, samura, w następnych zabiliśmy trochę drobnej zwierzyny. Ogółem rozkład 11 dzików, 16 zajęcy, 5 rogaczy, 1 lis. Tych miotów opisywać nie będę, boby wyglądał opis jak panienka cierpiąca na blednicę obok drugiej ślicznej, zdrowej. Postrzałków sądzę, że znajdą, jak nie trzy to dwa, ale i tak będzie wynik tego polowania w tym sezonie pierwszym w kraju. Byłoby zginęło jeszcze parę dzików, które przeszły niestrzelane z powodu, że jeden z myśliwych nie mógł włożyć a drugi wyjąć naboju ze sztućca po wystrzale, ale nie trzeba być nienasyconym. Panu Bogu i gospodarzowi dziękujemy za dzień, jakich nie wiele miała większość myśliwych przez cały przeciąg swego życia.

Teofil Żurowski.

Siechów 28. stycznia 1904.

Zdawało się, że po śmierci hr. Karola Dzieduszyckiego, już w lasach Siechowsko-Uchełniańskich nie odezwie się głos trąbki myśliwskiej, nie zagrzmi huk strzału. Gdy temczasem przeciwnie zięciowie ś. p. Karola, br. Franciszek Heydel i p. Franciszek Bocheński odnowili tradycyę zmarłego, i przy końcu 8. stycznia b. r., dali nam wspaniałe polowanie. Rozkład prześliczny, bo w trzech dniach padło 16 rogaczy, 54 zajęcy, 4 jarząbki, lisów 17 i dzików 17 (w tem jednego dnia dzików jedynaście). Rozkład ostatniego dnia polowania o jednego dzika mniejszy, niż ów sławny rozkład dziczy w Bukównie. A że byłby z pewnością przewyższony, to nie ulega wątpliwości, gdybyśmy byli w mniejszem gronie polowali, gdyż za blisko stojąc jeden myśliwy przed drugiego ze strzałem się spieszył, przeto gorączkował i umieszczał kule w brzozach i bukach, czyniąc szkodę gospodarzom i rozkładowi, n. p. na jednego z myśliwych szło pięć warchlaków, już zeszły do parowu nad, którym on stał, jedyna chwila na tripletę, teraz albo nigdy, myśli, przypuszcza je więc jak najbliżej, gdy w tem sąsiad jego za blisko stojący, nie mogąc rozeznać, że nie do niego należą już te dziki, że idą na sąsiada, strzela dwa razy przez gąszcze do nich. Warchlaki to jeszcze wytrzymują i przystanęły, gdy ten widząc, że żaden nie upadł, w rozpaczy woła: „cóż u djabła żaden nie upadł“, głosem tak kolosalnym, że dziki myśląc, że ich duża doga goni, ruszyły w kopyta, napowrót skąd przyszły, tak że myśliwy, którego one były własnością. już tylko bezskuteczne na niemi w haszcze puścił kule.

Pań wprawdzie w Siechowie nie było ale ua każdym miejscu, w domu i w lesie, uprzytomniały nam zarządzenia troskliwą ich opiekę, znać było, że wszystko było urządzone znaną ręką z domu Siechowskiego wyszłych gospodyń.

Oby się znaleść kiedy zwowu w tym miłym dworze Siechowskim. w tej uroczej kniei, gdzie polowanie jedno z pierwszych w kraju i doskonale prowadzone. *A. W.*

Ossowce, 31 stycznia 1904.

W Czarnokońcach, majątku P. Władysława Bogucckiego, ubito przez dwa dni 15 i 16 stycznia w 17 strzelb 382 zajęcy, 13 rogaczy i 8 lisów. Jeden zakład, zwany Berestki, dał na rozkładzie 64 zajęcy.

Barysz, 1 lutego 1904.

W dniach 28 i 29 stycznia b. r. odbyło się polowanie w lasach baryskich pierwszego dnia w 12 strzelb, a drugiego w 7 strzelb — padło kozłów 6, zajęcy 51, a lisów 4 pomimo, że zając był w polu, byłoby powinno trzy razy tyle paść, gdyby nie bardzo silny mróz, który i palce i oko zmroził niektórym myśliwym.

Siedlecki.

Uniż, 4 lutego 1904.

Według zapisków, prowadzonych od dnia 26 listopada 1880 roku, padło do dnia 1 lutego 1904 roku w Uniżu: dzików 189, rogaczy 128, lisów 119, zajęcy 508, różnych 91. Razem sztuk 1035. Poluje się zwykle przez 2 lub 3 dni w sezonie, a w czasie wyżej podanym przez kilka sezonów zupełnie nie polowano.

Kazimierz Przybysławski.

Pikułowice 4. lutego 1904.

Wybryk natury. Załatwiwszy dnia 1 b. m. czynności służbowe, kazałem leśnym przejść skrawek lasu, w którym spodziewałem się lisa. — Gdy leśni byli w połowie drogi, wyszły wprost na mnie na 50 kroków dwie sarny. Pierwsza sztuka była mała, a mimo to były już widoczne guzy na głowie, drugą zaś sztukę, sądząc po łbie i wzroście, wziąłem za starkę. Po chwili jednak, gdy sarny spostrzegłszy mnie — pomknęły na połeć i strzał był już prawie za daleki, poznałem, że i druga znacznie większa sztuka, to także kozioł. W ostatniej też chwili, gdy mi sarny znikały już z oczu, licząc na niezawodność swej strzelby i w imię św. Huberta, posłałem dorywczy strzał jak do kszyka. Kozioł, zaznaczywszy strzał, uszedł jeszcze 40 kroków i padł martwy. Ucieszony trafnością mojej strzelby, zbliżam się do kozła, by oglądnąć strzał — w tem w odległości 10 kroków staję, robi mi się mimo mroźnego wiatru ciepło!...

Po łbie całkiem gładkim poznaję, że mam przed sobą kozę — a nie kozła.

„A niech to..... myślę sobie, jeżeli mnie wzrok zawiół i ja kozę wziąłem zo kozła; lepiej byłoby się stało, gdyby strzelba była zawiodła!“

Tymczasem nadchodzi jeden z leśnych; ja mu wskazuję leżącą sztukę, każę mu ją zabrać, a sam — nie mając chęci tłómaczyć się przed leśnym — odchodzę.

Uszedłszy kilkanaście kroków, słyszę, jak leśny mówi do siebie: „A to ładny kozioł“. Staję i wołam do leśnego: „a przypatrz mu się dobrze, czy to kozioł?“ On mi na to: „Kozioł, proszę pana i to ładny“. Słysząc to, wracam biegiem do leśnego — i w chwili, gdy on padłą stukę podnosi, poznaję ku mej radości, że to w samej rzeczy kozio! Oglądam go więc dokładniej i przekonuję się, że jest to silny dwulatek, który jednak rożków dotychczas nie miał i nie miałby ich w przyszłości. Łeb całkiem gładki, jak u kozy, a pod skórą na czaszcze, zaledwie namacalne, bo ylko wielkości grochu guzy.

Pomimo, iż już ponad 200 kozłów ubiłem własnoręcznie, a widziałem wiele więcej — pierwszy raz spotykam kozła bez rogów.

Maryan Małaczyński.

Rożniatów 5. lutego 1904.

Po naszym karnawale.

Przebrzmiały już ostatnie strzały, rozwiały się dymy myśliwskich kadzideł i śnieg spisany licznymi tropami i sfarbowany juchą biednych kopyr ginie powoli, zmywając w ten sposób ślady odbytej tragedyi i zesuwając ją w mgłę zapomnienia. Tak mija wszystko a szczególnie prędko mijają przyjemności, ale pozostają miłe wspomnienia, pozostają nieraz na całe lata i stają się miłą rozrywką w żmudnej pracy rolnika.

Nieraz budzę się rano i siłą przyzwyczajenia spoglądam w okno, lecz tu zamiast białej niewinnej szaty zimowej, widzę brudne, zimne, nieznośne błoto, duże krople deszczu zwisają z cienkich obnażonych gałązek i mimowoli przychodzi mi wówczas na myśl metamorfoza niewinnej wiejskiej młodej dziewczyny w brzydką, bezwstydną, łachami okrytą ulicznicę. Z wstrętem wzrok odwracam od tego widoku i pada on na szafkę, gdzie po dłuższej głośnej pogawędce porządnie wyczyszczona i dobrze wysmarowana spoczęła moja strzelba.

Och ty jedyna towarzyszko moja, ty najlepszy chociaż niemy świadku mych tryumfów i pudeł moich, nie kokietuj mnie tak piekielnym połyskiem swych czarnych luf — nie spoglądaj na mnie tak smutnie, bo dalipan nie wytrzymam i jeżeli już nie do czego innego, to do papierowego zająca „fangschusem“ strzelę.

Mam z tego sezonu przyjemne wspomnienia, bo dzięki pamięci poczciwych znajomych, przez cały prawie styczeń polowałem. Ponieważ nie uważam gościnnych szpalt *Łowca* za arenę, na której popisywać się należy sprawozdaniami z polowań, na których padają setki zajęcy dziennie, czyli że nie wypada chociaż w kilku słowach nie opisać tych naszych szlacheckich poczciwych polowań — dlatego niech mi tu będzie wolno przytoczyć kilka większych polowań, w których w tym sezonie miałem przyjemność brać udział.

Dnia 19 grudnia na polowaniu w Zalesiu u p. Gumińskiego w 12 strzelb padł rogacz i 47 zajęcy. Mogliśmy byli zabić dużo więcej, gdyby się był każdy obliczył z silnym wiatrem i z odległością, na jaką strzelał i lepiej zającom zakładał.

W dwóch dniach na polowaniu zaledwie w kilka strzelb padły u p. Piotra Łastowieckiego w Hadlach 3 lisy, 2 jarząbki, rogacz i 20 zajęcy.

Dnia 3. stycznia na rozpoczęcie roku, pozostawiwszy miłe „gody“ i kłopoty ze służbą karbowym, wyjechaliśmy w sześciu miłych kompanów nad Zbrucz, na dwudniowe polowanie do p. Bronisława Łastowieckiego.

Kto znał przedtem krogulecką małą ale pełną zwierzyny knieję, temu za powoli szedł pospieszny a co dopiero mówić o znanym powszechnie tramwaju „Tarnopol-Kopeczyńce“. Miłe było nasze zdumienie, gdyśmy przed stacyą ujrzeli sanie i przekonali się, że i sanna bardzo dobra i śniegu w polu i w lesie dosyć.

Dnia 4. stycznia polowaliśmy w Trojanówce w dziesięć strzelb, gdzie padło 5 lisów, 4 rogaczy i 126 zajęcy. Dzień cudowny przy tęgim mrozie, cudowne położenie nad Zbruczem, gęsta kanonada, oto co się złożyło, że humory

pomimo dość forsownej dalekiej jazdy były znakomite i że kładąc się spać dziękował każdy św. Hubertowi za już a prosił o szczęście na jutro.

Nazajutrz polowaliśmy w Krogulcu w dwanaście strzelb a na rozkładzie znalazły się 4 rogacze i 224 zajęcy. Cudowny był szczególnie jeden miot, gęsty młody zapust, z którego wyniesiono 97 zajęcy, ile zaś poszło postrzelonych, niestrzelanych, lub ile padło strzałów, to już pozostawiam zmyślnej Dyanie do zapisania w annałach.

Dnia 9. i 28. stycznia polowaliśmy w dwanaście strzelb pierwszego a w dziewięć drugiego dnia w Głęboce, u p. Stefana Myszkowskiego. Pierwszego dnia padło 36 zajęcy i 2 lisy, drugiego zaś dnia 24 zajęcy. W bardzo trudnych dla łowiectwa warunkach objął dopiero w tym roku szanowny gospodarz Głębokę, jednakowoż mamy nadzieję, że szanując zwierzynę a tępiąc dwu i czworonożne szkodniki, do czego się też zabrał energicznie, doprowadzi w krótkim czasie do ładnego zwierzostanu. Kuropatw w każdem kole a szególnie w łozach nad Sanem, widzieliśmy po kilka stadek. Przytem dom pp. Myczkowskich jest przynajmniej dla mnie najprzyjemniejszy jaki znam, dlatego nie wspominam już o oklepanej staropolskiej gościnności, bo każdy kto tam był, zna ją dobrze i każdy się czuje jak u siebie w domu.

Dnia 12. stycznia na polowaniu w Niwkach, u p. Piotra Tretera, padło w 12 strzelb 29 zajęcy. Zwierzostan tam zawsze bardzo ładny, w tym jednak roku ucierpiał bardzo wskutek wylewów, dlatego i rezultat słaby i nie miarodajny.

Do najmilszych chwil, spędzonych z strzelbą w ręku muszę stanowczo zaliczyć polowanie w Uhercach, u p. Jana Smalawskiego. Knieja cudowna, gospodarz sam zawołany myśliwy prowadzi świetnie polowanie, a polując lat tyle zna każdy manewr dzika i zająca i potrafi tak jednemu jak i drugiemu wczas odciąć drogę.

Rok bieżący jest jedynastym w moim zawodzie myśliwskim, polowałem dosyć na dziki, jednakowoż zawsze pech taki mnie prześladował, że gdy pierwszy strzał do dzika, to lis za lisem kitą mi pod nosem macha, lub rogacz w ładnem otoczeniu swych żon czystą tarczą zabłyśnie mi przed oczyma. Dopiero uherecka knieja stała się widownią mego szczęścia myśliwskiego, dopiero tutaj pierwszy dzik strzelony przezemnie zrulował w ogniu jak zając, i tutaj według starego myśliwskiego zwyczaju zostałem przez szanownego gospodarza dziczą pomalowany farbą.

Polowanie udało się bardzo ładnie, albowiem zabiliśmy w 12 strzelb 3 dziki, lisa, 3 rogacze i 17 zajęcy — parę rogaczy i zajęcy byłoby padło w pierwszym miocie, gdyby nie było dzików, ale każdy chętnie darował je dla tych czarnych miłych bestyi. Toteż nic dziwnego, iż nazajutrz do dnia, chociaż miłą drogę miałem przed sobą, z żalem w sercu za minionemi chwilami opuszczałem mały uherecki domek i wzrok mój podążył hen ponad lasy, z cichem pożądaniem ujrzenia ich znowu kiedyś w podobnie białej szacie.

Adam Łastowiecki.



Z powodu nawału korespondencyi znaczną ich część musiała Redakcya odłożyć do następnego numeru.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**